

Jerzy Kolankowski: Ścieżka nad Kamienną. Wspomnienie o Janie Sztaudyngerze

Główną pasją Jana Sztaudyngera (wśród innych głównych) były „pacynki”, czyli teatr kukiełkowy, ale tkwił w nim nie tylko szczery liryk, ostro widzący satyryk i kpiarz, ale także wielki kawał prawdziwego człowieka teatru. Teatru takiego raczej, jakim go widział Wyspiański: teatru ogromnego – pisał Jerzy Kolankowski.

Miałem, mogę śmiało powiedzieć, to szczęście, że moje drogi krzyżowały się szereg razy z ludźmi nieprzeciętnymi, przedstawicielami nauki i sztuki.

Jako dziecko bywałem w domu Stefana Grabińskiego, polskiego E.A. Poe, który przyjaźnił się z moim ojcem. W wieku młodzieńczym i dojrzałym szczęśliwy traf zbliżał mnie niejednokrotnie z ludźmi pióra. Mijaliśmy się czasem tak, jak ptaki w przelocie, czasem jechaliśmy w tym samym przedziale i żegnaliśmy się na którejś ze stacji po drodze, czasem zamieniało się to w krótszą lub dłuższą znajomość, zażyłość, przyjaźń. Maciek Friedman, Tadeusz Hollender, młodzi postępowi poeci...

Wyznacznikiem mojego losu była jednak medycyna a nie sztuka – jej syreni śpiew dolatywał do mnie już w latach trzydziestych – choć i o medycynie mówi się wciąż jako o sztuce. Nie zawsze też umiałem

należycie swoje szczęście do „gwiazd” wykorzystać, utrwalić dla innych. Niejedno też wskutek tego poszło w niepamięć. Nie pamiętam więc też dokładnie dnia i godziny, kiedy po raz pierwszy spotkałem Jana Sztaudyngera. Było to jednak z pewnością wiosną roku 1947, pewnie tuż po jego osiedleniu się w Szklarskiej Porębie Górnej. A okazja była szczególna.

W dniach 8-11 maja 1947 r. odbywał się w Jeleniej Górze Pierwszy Zjazd Polskich Pisarzy Ziemi Sudeckiej. Od r. 1946 należałem do Związku Zawodowego Literatów Polskich, Oddziału w Jeleniej Górze (Dolnośląskiego), któremu prezesował Edward Kozikowski, znany i ceniony poeta z przedwojennej „Grupy Czatraka”, brałem więc udział we wszystkich imprezach Zjazdu, m.in. w wieczorze autorów, podczas którego wygłaszali swoje utwory pisarze, prozaicy i poeci, członkowie Oddziału ZZLP, wśród nich oczywiście również Jan Sztaudynger, poeta liryczny. Zbyt byłem przejęty własną (skromną) rolą, abym mógł, ponad konieczność, zwracać baczniejszą uwagę na znamienitych konsorsów. Wiadomo młodość zapatrzoną we własną, choćby ledwo tłącą się gwiazdkę!

Tylu było ludzi, tyle ciekawych spraw, tak podniecająca atmosfera... Niewiele zresztą, trzeba przyznać, mówiło mi wówczas to nazwisko (choć w tym gronie jedno z najwybitniejszych). Literat jak inni... Bliższe poznanie miało nastąpić nieco później.

Szło lato. Piękne, jak mało które, lato tego roku, drugiego roku „planu sytości”. Aby wywołać jego wizję, trzeba by zebrać wszystkie barwy tamtego czasu.

Podreperowani już jako tako, postanowiliśmy pierwsze powojenne wakacje spędzić wraz z naszymi córkami u rodziców w Szklarskiej Porębie, na skraju lasu, nad idealnie czystą jeszcze w tym miejscu rzeką Kamienną. Przez ów las wiodła – jak się okazało – ścieżka, którą od niedawna wędrowała chuda, zgarbiona, charakterystyczna postać: Jan Sztaudynger we własnej osobie. Kursował tędy przynajmniej raz dziennie, w obu kierunkach – pod górę i w dół, zwykle objuczony torbą lub plecakiem – do najbliższego sklepu było dobre pół godziny drogi – ale zawsze pogodny, „jakże być smętnym kiedy w lesie tak pięknie”, i uśmiechnięty, tym swoim trochę ironicznym i jakby filozoficznym uśmiechem spod wydatnego nosa, który wie czego szukać a czego unikać na świecie. Tak wyobrażałem sobie kiedyś Ezopa Fryga, a także czarodzieja z uroczej książki o *Cesarzu mrówek*.

Jan Sztaudynger znał się już z moimi rodzicami, zachodził tam niekiedy, a oba domy, oprócz sympatii, były niejako połączone ową ścieżynką, ulubionym miejscem naszych spacerów. Niebawem doszło do naszej pierwszej wizyty u p. Sztaudyngerów, w ich wiejskim domu przy „ulicy” 1-go Maja 55. Były poziomki z bitą śmietaną, uśmiechy pani domu i mojej żony, zachwyty nad dziećmi. Ważkich rozmów o literaturze jakoś sobie nie przypominam. Natomiast dziwiliśmy się wszyscy dlaczego mogąc zamieszkać w jakiejś przyzwoitej willi czy pensjonacie pan Jan wybrał zwykłą chałupę, w nienajlepszym stanie, położoną niemal na odludziu. Ale przyznawaliśmy zgodnie, że zarówno chata, jak i jej położenie – wszak na przeciwległym wzgórzu, po drugiej stronie Kamiennej zamieszkał też stary przyjaciel Vlastimil Hofman – mają wiele czaru i uroku (znacznie mniej uroku miał dla żony poety z rocznym synkiem i małą córeczką prymityw urządzenia i wyposażenia domu, ale to już była raczej proza niż poezja).

Odwiedzaliśmy się wzajemnie wielokrotnie, jak to na wakacjach. A do atrakcji wakacyjnych, szczególnie pociągających autora *Rzezi na Parnasie* i mego ojca, należało grzybobranie, pasja dla mnie prawie niezrozumiała. Nigdy w życiu nie znalazłem w lesie grzyba, więc łażenie po chaszczach i wertepach leśnych, i to już od bladego świtu – ze względu na konkurencję! – wcale mnie nie nęciło. Być może działała podświadomie zniechęcająco głucha wieść rodzinna o zatruciu grzybami, z którego ocalał tylko jeden z moich najmniej lubianych wujów. A może zwykłe lenistwo? Dałem się jednak namówić. Czego się nie robi dla zacnego towarzystwa!

Ruszyliśmy według wskazującego palca, gdzieś w stronę Łabskiego Szczytu, przez las, na przełaj, wcześniej rano, z koszami i worami grubo ponad moje przewidywania (może jakiś jeden muchomor się znajdzie!) i jak to przy zbieraniu grzybów – pogubiliśmy się.

Jan Sztaudynger, jak można sądzić choćby z fraszki: „Zanim ją zdradzę, to się jej poradzę”, był wzorowym mężem, choć podobnie jak żaden grzyb w chruśniaku, nie uszła jego spojrzeniu żadna z ładniejszych twarzyczek. Nie krył się z tym zresztą przede mną wcale. – O, jaka ładna bestyjka – zachwycił się głośno. Kochał bowiem piękno pod każdą postacią i w każdym przejawie. Wracając do grzybobrania w lesie aż gdzieś pod Borówczanymi Skałami – na punkcie zbornym odnaleźliśmy się wszyscy już koło południa – obdarzeni sprawiedliwie: ojciec i pan Jan mieli po kilka prawdziwków, dużo maślaków, podpieńków i jakiegoś innego drobiazgu. Jednym borowikiem wyjątkowo (rzekomo) dużym cieszył się pan Jan jak dziecko. Ja jak zwykle wracałem z pustymi rękami, ale nie zupełnie. Zapamiętałem fraszkę wypowiedzianą wówczas przez niego ad hoc: „Wielu lubi dziwki, ja wolę prawdziwki”.

Autor nie był jednak z siebie w pełni zadowolony, bo powiedział usprawiedliwiająco:

– Sam pan wie (uważał mnie po trosze za kolegę po piórze), tak się jakoś składa. Nie zawsze do składu (książkowego zwłaszcza) i wtedy trzeba to upuścić na wiatr – i dodał – jak piórko.

Pewnie nie wiedział wtedy, że przyszłemu zbiorowi fraszek da tytuł *Piórka* (Krakowskie, z gór, Nowe). Mówiliśmy potem o odpowiedzialności za słowo, o Kochanowskim i Morsztynie. A w dalszej rozmowie jakby dla wyjaśnienia i potwierdzenia tego, co go ciągnęło do tutejszego życia, wiejskiego na poły (jeździł do Łodzi, gdzie miał drugi dom i gdzie pracował w Centralnym Instytucie Kultury), powiedział tonem wyznania fragment szkicowanego wówczas wiersza:

Kochałem kwiaty, lalki, dzieci,
Marki, grzyby, wsie i miasta,
Gwiazdy, zwierzęta, nawet chwasty...
(*Puch ostu*)

Poezji było coraz więcej w naszych rozmowach. Ale wakacje się kończyły. Wracaliśmy do dnia powszedniego, którym był Oddział Szpitalny w Cieplicach, przewidziana na październik obrona pracy doktorskiej.

Chociaż rzadziej i teraz okazji do spotkań nie brakowało nadal. Niemal do rytuału należała wizyta we „Wlastimilówce” u osiadłego również w Szklarskiej Porębie Vlastimila Hofmana. Ujrzałem go po raz pierwszy przy sposobności wizyty w Polsce poety Franciszka Halasa i Marii Pujmanovej, wybitnych pisarzy czeskich, i od razu uległem urokowi tej pięknej, uduchowionej postaci malarza-poety i mistyka zarazem, ale miałem możliwość zamienić z nim tylko kilka zdawkowych słów. Jan Sztaudynger u Hofmanów, których namówił do porzucenia Krakowa i osiedlenia się w Szklarskie Porębie, był nieomal domownikiem, a codziennym gościem jeszcze w czasach krakowskich, więc po wspólnej wizycie u Mistrza obiecywać mogłem sobie wiele.

Skromny, drewniany domek, bardziej odpowiedni dla jakiegoś robotnika leśnego niż dla wybitnego artysty-malarza. Obraz sielskiej prostoty, kryjący w osobie gospodarza finezje europejskiej kultury. Droga do tego przybytku sztuki jeszcze chyba dalsza od centrum Szklarskiej Poręby niż do domu Jana Sztaudyngera, ale urocza, otwierająca piękne widoki na niebieskawe Karkonosze, przez łąki i przez las.

I oto jesteśmy, witani z rzadką serdecznością, z ujmującą bezpośredniością. Na lewo od sionki maluteńka pracownia malarska, dwa pokoiki na parterze również ciasne i małe i aż dziw bierze, że na ścianach znalazło się miejsce na parę dużych płócien, wśród których szczególne zainteresowanie budzi piękny portret ukochanej żony artysty, p. Ady Hofman.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że jest to jakieś wygnanie. Nuta ta wisi w powietrzu, bo pan Jan pyta żartobliwie:

– Jak się krakowscy wygnańcy czują w tej swojej pustelni. Jak się czują gołąbeczki...

Nie jestem jeszcze zorientowany w szczegółach. Mistrz Hofman mówi o tym z nutką łagodnego humoru, z pobłażliwością mędrca. Żona tylko się uśmiecha i kiwa głową. Życie to jest zmiana...

Rozmowa schodzi na sprawę pozycji artysty w świecie współczesnym, skażonym opadami radioaktywnymi wybuchów nad Hiroszima i Nagasaki, coraz bardziej zagrożonym; na rolę twórcy w społeczeństwie budującym socjalizm. Sprawy dnia powszedniego powoli jednak ustępują, cofają się jakby w głąb, wobec zagadnień Wielkiej, Wiecznej (?) Sztuki, tej, której bez względu na aktualne oceny, wierny jest zawsze uczeń Jana Malczewskiego. Wspomnienia z pobytu w Palestynie zaczynają się przeplatać z *Podróżą do Ziemi Świętej* Słowackiego, ukochanego poety Mistrza. Epoka romantyzmu, bliska nam wszystkim ciągle mimo różnic postaw i ocen, to temat niewyczerpany również dla Jana Sztaudyngera, który, jak wiadomo, doktoryzował się na podstawie pracy o Stefanie Garczyńskim. Czas jak gdyby stanął na chwilę. Jego mijanie oznacza tylko bezszelestnie plama słoneczna wędrująca po podłodze. Że nie mijał bezowocnie świadczą rysunczki, które powstawały nieustannie pod ręką Mistrza podczas tych odwiedzin. W pokoju unosi się aromat kawy, którą sączymy wolno, ze znanstwem, bez pośpiechu smakując. Mistrz pokazuje tomik wierszy pisanych i wydanych w Palestynie pt. *Przez ciernie ku Wolności*. Nie jest to może

poezja najwyższego lotu – któż jednak powiedziałby o tym otwarcie – pamiętnik przeżyć duchowych artysty z lat wojny, wygnania, klęski, życia na obczyźnie, jakieś dopełnienie tego wszystkiego czego nie zdołał (?) oddać i powiedzieć pędzel. Trzeba go uszanować, bez względu na kształt, może nie tak doskonały jaki jawił się w marzeniu, w zamyśle, zawsze sięgającym wyżej, w tym, co nigdy nie może być w pełni zrealizowane.

Łagodność, wyrozumiałość, nieomal pokora, jakiś rys dobrodusznego pustelnika, jakaś ufna bezbronność wobec otaczającego świata – takim widzę Vlastimila Hofmana, który kiedy żegnamy się mówi: Niech pan też nie zapomina o nas...

Oboje długo jeszcze patrzą za nami stojąc na ganeczku swego domku zagubionego w karkonoskim niebieskawym zmierzchu.

[...]

14 VIII 1949 w Szklarskiej Porębie odbył się wieczór autorski, w którym wzięli gremialny udział literaci jeleniogórscy, a także Leon Pasternak, Jan Sztaudynger, a z młodego narybku Maria Plaskota (ówczesna żona E. Kozikowskiego) i niżej podpisany figurujący dla niepoznaki pod chytrze wymyślonym pseudonimem Jerzy Pług (lekarz – poeta, to mieszanka jak wiadomo, mówiąc językiem aptekarskim, niezgodna).

Publiczności nie odstraszyły bilety wstępu w cenie 100 zł i 50 zł dla młodzieży (przed zmianą waluty) i stawiała się licznie, tak, że sala była wypełniona po przysłowiowe brzegi, ale również w najdalszych rzędach

nie świeciła pustkami. Trzeba powiedzieć, że i aura była sprzyjająca, deszczowa, i nie było jeszcze tylu możliwości dobrego spędzenia czasu co dziś.

Wieczór przebiegał według ustalonego programu, poszczególnych autorów i ich utwory nagradzano nie skąpionymi brawami. Kiedy zaczął mówić Jan Sztudynger, cisza na sali jakby pogłębiła się jeszcze. Autor najwidoczniej przeżywał głęboko swój występ – były to piękne wiersze liryczne dawne i ostatnie, *Ballady poznańskie*, *Ballady wrocławskie* i *Kantyczki śnieżne*, wzruszające ludzkie i patriotyczne strofy. Podczas wygłaszania jednego z kolejnych wierszy głos Jana Sztudyngera załamał się nagle i przemienił w szloch. – Wybaczcie państwo, ale nie mogę więcej...

Burza oklasków zagłuszyła te słowa usprawiedliwienia godne jedynie wielkiego poety i człowieka o prawdziwie gorącym sercu.

A potem, konieczności życiowe, wymogi pracy literata, pasja lalkarska, a także zwykła ludzka zawiść i małość sprawiły, że Jan Sztudynger musiał, wbrew sobie, oddalić się od Ziemi Jeleniogórskiej, w którą zaczął wrastać wszystkimi korzeniami, rozumem i sercem, wolą i uczuciem. W 1951 r. rodzina Sztudyngerów jest z powrotem w Łodzi. Niewygodny dla „krótkowidzów” mieszkaniec Szklarskiej Poręby zwolnił ileś tam metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej, a w życiu kulturalnym pod Snieżką powstała jeszcze jedna luka, która naprawią dopiero idące lata. Brak jednak pozostanie brakiem.

Nie widzieliśmy się teraz latami, ale jakieś związki i przelotne, zawsze przyjazne kontakty pozostały. Aż nareszcie znowu szczęśliwy traf pozwolił mi być świadkiem ważnego wydarzenia w życiu Jana Sztaudyngera.

W 1939 roku, w czasopiśmie „Droga” redagowanym przez świetnego inscenizatora teatralnego, zasłużonego dla kultury polskiej reżysera i dyrektora teatrów, a także tłumacza, autora świetnych studiów literackich Wilama Horzycę, ukazał się przekład dramatu Henryka Kleista *Księżę Homburgu* pióra Jana Sztaudyngera. Teraz ten sam Wilam Horzyca wystawiał sztaudyngerowskiego *Księcia Homburgu* w Teatrze Narodowym w Warszawie (sezon teatralny 1957/58).

Przekład był świetny. Polska prapremiera sztuki Kleista, znanego dotychczas z *Rozbitego dzbana*, znakomitym wydarzeniem i sukcesem teatru, który pod wytrawną reżyserią Horzycy dał barwne, świetne widowisko. Przede wszystkim był to jednak olbrzymi sukces obecnego na Sali tłumacza. Miałem możliwość podzielać radość rodziny i przyjaciół i gorąco mu tego wielkiego sukcesu gratulować.

Wprawdzie główną pasją Jana Sztaudyngera (wśród innych głównych) były „pacynki”, czyli teatr kukielkowy, ale tkwił w nim nie tylko szczerzy liryk, ostro widzący satyryk i kpiarz, ale także wielki kawał prawdziwego człowieka teatru. Teatru takiego raczej, jakim go widział Wyspiański – teatru ogromnego. Była to jeszcze jedna nie wyżyta do końca pasja Jana Sztaudyngera. Można by tylko krótko powiedzieć fraszka:

Tak wiele życia
nie do użycia.

Aż żał pomyśleć jak wiele...

Upływały znowu miesiące, przemieniały się w idące kolejno lata, lepsze, gorsze, zawsze twórcze. Na mojej półce przybywało tomików fraszek (niestety nie wszystkie) Jana Sztaudyngera, który w tej dziedzinie twórczości zajmował pozycję bezapelacyjnie wiodącą (obok J. S. Leca). Dla niego były to lata rosnącego rozgłosu, jakiego nie było nigdy przedtem, ale również lata ciężkiej, podstępnej choroby, o której mało kto wiedział, Jan Sztaudynger bowiem docierał do ludzi nie tylko w druku, ale również żywym słowem, uśmiechnięty, na pozór tryskający zdrowiem.

Jeździł po całej Polsce z wieczorami autorskimi; pisał do mnie: „Czekają mnie wyjazdy: Jasło, Katowice, (Ruda Śląska), Łódź, Warszawa, Jarosław. Jestem w zupełnej depresji, oczywiście chwilowej”.

Występy te zawsze były wydarzeniami i ściągały tłumy.

„Zdrajcę Sudetów”, jak sam napisał na tomiku z dedykacją dla mnie, ciągnęło zawsze pod Śnieżkę i na tę drożynę śródleśną nad rzeką Kamienną, którą wędrował co dnia słuchając szumu rzeki i karkonoskiego wiatru. I oto 24 IX 1966 r. – Wieczór Autorski Jana Sztaudynger w Cieplicach.

Sala Klubu „Gencjana” pełna, świetny występ, homerycki śmiech, huraganowe brawa nagradzają zwłaszcza improwizacje. Refleks i cięta puenta, śmiałe, nieoczekiwane skojarzenia, zawsze cechowały autora *Piórek, Supelków i Śmiesznot*. Po wieczorze autorskim, drugi nieoficjalny u nas w domu, w małym gronie. Nareszcie bez napięcia, jak w gronie najbliższych. Miła swobodna rozmowa, wspominki, uśmiechy... Żegnając się obiecywaliśmy sobie znowu częstsze i żywsze kontakty, „to naprawdę wielka szkoda, że nie możemy się częściej widywać”, spotkania w Cieplicach i w Zakopanem w domu rodzicielskim Jana Sztaudyngera przy ulicy pod Skocznią.

– Świetny widok na Krokiew, musicie kiedyś przyjechać jak będą skoki. Trybuna bezpłatna.

– Przecież ciągną pana Tatry, więc można połączyć przyjemne z pożytecznym...

– Ależ oczywiście...

Została z tego dedykacja w książce, parę kartek: „Miło wspominać wizytę u Was. Żona zachwycona obrazkami...”. W cztery lata później, we wrześniu 1970 r. Jan Sztaudynger już nie żył. Po „długim i szczęśliwym życiu” spoczął, tak jak tego pragnął, na krakowskim cmentarzu Salwator, kryjącym również prochy Karola Huberta Roztworowskiego, który stał u początku jego twórczości.

Z daleka Tatry jak na dłoni,
A z bliska Wisła sobie goni,
Pod boki Kopic jak wykrzyknik
Prowadzi Kraków w gajów piknik
I salwatorski śliczny cmentarz,
Na którym każdy grób pamiętasz,
Na którym może i twój będzie,
Gdy umkniesz życiu i legendzie.

Jerzy Kolankowski

Przedruk za: „Rocznik Jeleniogórski”, t. 15, 1977, s. 61-75.